



O celu życia ludzi wolnych

ks. prof. Piotr Tomasik

Kazanie z okazji 90-lecia XXI Liceum Ogólnokształcącego im. Hugona Kottłataja wygłoszone 15 października 2011 w Kościele Opatrzności Bożej w Warszawie.

Nie od [wypełnienia] Prawa została uzależniona obietnica dana Abrahamowi i jego potomstwu, że będzie dziedzicem świata, ale od usprawiedliwienia z wiary. On to jest ojcem nas wszystkich – jak jest napisane: Uczyniłem cię ojcem wielu narodów.

Czytamy dzisiaj te słowa z Listu do Rzymian, pisma, w którym św. Paweł, kierując się do chrześcijan pochodzenia żydowskiego, mieszkających w stolicy Imperium, chciał odpowiedzieć na pytanie, co znaczy uwierzyć Bogu i przyjąć Chrystusa. Apostoł wskazuje, co w tej kwestii jest najważniejsze: mianowicie, iż wiarę poznaje się nie tyle po tym, co z zewnątrz można zobaczyć, nawet nie po dobrych czynach i zachowywaniu Przykazań Bożych czyli Prawa, ale po motywacji, polegającej na uznaniu prymatu Boga w życiu człowieka. Ten prymat Boga oznacza zderzenie się w życiu człowieka świętości i mocy Stwórcy z własną grzesznością i słabością. Dlatego wiara jest nawróceniem, a jej motywacja oznacza, że człowiek chce odmienić swoje życie, by miłością odpowiedzieć na miłość Boga.

Stąd też, uczy św. Paweł, dziedzictwo wiary i nawrócenia dostępne jest nie tylko dla Żydów, ale i dla pogan. Przecież możliwość okazania Bogu miłości właściwa jest wszystkim ludziom, dzieciom jednego Ojca. O tym właśnie jest mowa w czytany dzisiaj fragmencie. Z innego natomiast miejsca Listu do Rzymian dowiadujemy się, że dziedzictwo wiary jest dostępne również dla ludzi, którzy formalnie nie uwierzyli w Jedyne Boga, lecz z wysiłkiem, gorliwością

W tym numerze

Teraz My!
Numer trzydziesty trzeci, rok dziewiąty
Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:
Grażyna Różewicz
Opieka edytorska:
Aleksandra Wróblewska
Adres internetowy:
<http://www.21lo.waw.pl/pl/teraz-my.html>

ks. prof. Piotr Tomasik	<i>O celu życia ludzi wolnych</i>	1
Maja Miśniakiewicz	<i>100 sekund</i>	4
Barbara Bojsza	<i>Zupełnie inny poranek</i>	7
Justyna Szybińska	<i>Haust świeżego powietrza</i>	8

i wiernością poszukują prawdy i w ten sposób stają się bliscy Bogu, być może sami o tym nie wiedząc. Innymi słowy, wiara otwiera na świat, jest powszechna czyli katolicka, ale wiara jest jednocześnie propozycją zobowiązującą: kto ją przyjmuje, daje się porwać prawdzie, chce, by światło prawdy oświecało jego życiową drogę.

To oświecenie drogi życia nie odnosi się tylko do jednostkowych wysiłków ludzkich: światło prawdy czyni z odrębnych jednostek wspólnotę ludzi, którzy idą wspólnie tą samą drogą prawdy. W tym miejscu trzeba dokonać rozróżnienia, o którym mówi Paweł. Podstawowa wspólnota wiary to Kościół: dostrzega ona i uznaje w Bogu Pana życia, źródło, bez którego nie sposób byłoby iść drogami prawdy. Ale do tej wspólnoty dołączają też ci, którzy źródła prawdy nie znają, lecz promień światła oświeca im drogę, a ona przecież prowadzi do zbawienia.

Podsumowując: św. Paweł mówi dzisiaj nam o potrzebie uznania prymatu Boga albo przynajmniej prymatu prawdy.

* * *

Kto się przyzna do Mnie wobec ludzi, przyzna się i Syn Człowieczy do niego wobec aniołów Bożych.

Te słowa Chrystusa czytamy dzisiaj w Ewangelii. Okazuje się, że nawrócenie i wiara domagają się świadectwa, potwierdzenia czynem. Możemy postawić pytanie, co znaczy przyznać się do Boga. Przyznać się do Boga to stanąć po stronie prawdy wyznając wiarę, ale też to po prostu stanąć po stronie prawdy, po stronie tych, którym silni i syci tego świata chcą odebrać prawo głosu. By zdobyć się na taką szlachetność i prawość nie trzeba nawet mieć formalnej przynależności do Kościoła.

Słowa o prymacie Boga i prawdy, o potrzebie świadectwa i jasnego opowiedzenia się za prawdą czytamy dzisiaj, gdy obchodzimy jubileusz naszej szkoły, XXI LO im Hugona Kołłątaja. Jubileusz to spojrzenie wstecz, na tych, którzy byli przed nami, uczniów, profesorów, pracowników; to także spojrzenie na instytucję szkoły, gdzie uczyliśmy się otwierać na świat, szukać prawdy, opowiadać się po jej stronie. My, dawni uczniowie, chętnie wracamy do tych lat naszej młodości, do naszych zmagania i wysiłku, smutków, ale też do radości, do naszych ideałów.

Ale uczestnicząc w jubileuszu szkoły pamiętamy o jej terażniejszości, o naszych następcach, o celu, dla którego wciąż szkoła ta istnieje. Nie od rzeczy będzie przypomnienie słów, jakie 20 lat temu wypowiedział na temat polskiej szkoły bł. Jan Paweł II w czasie pielgrzymki do Ojczyzny:

Szkoła mocą swego postannictwa kształtuje władze umysłowe, rozwija zdolność wydawania prawidłowych sądów, wprowadza w dziedzictwo kultury wytworzonej przez przeszłe pokolenia, kształci zmysł wartości, przygotowuje do życia zawodowego, sprzyja dyspozycjom do wzajemnego zrozumienia się. (...) Oto w wielkiej syntezie zadanie szkoły, która ma kształcić i wychowywać. W podejmowaniu tego zadania nie wystarczy patrzeć tylko w wymyśloną przyszłość, ale trzeba ją już teraz jakoś tworzyć, trzeba mieć przed oczyma całą tradycję narodu, społeczeństwa, państwa. (...) Narody, które tracą pamięć, schodzą do rzędu plemienia.

Wiemy, jak bardzo trudna — mówiąc z pozycji interesów i praw rodziny oraz narodu — była nasza szkoła po zakończeniu wojny, kiedy stała się po prostu

terenem walki ideologicznej, miejscem laicyzacji i sprzeczności między oficjalnym nauczaniem państwowym a tym, co czuł naród, czego pragnęła przeciętna polska rodzina, zwłaszcza rodzina wierząca. Nie jestem tu po to, by przeprowadzać rozliczenia. Jako pasterz Kościoła pragnę raczej wyrazić uznanie i podziękowanie tym wszystkim wychowawcom i nauczycielom, którzy w trudnych, a czasem bardzo trudnych warunkach, swoim słowem i postępowaniem, dzięki odwadze i mądrej roztropności pomogli w ogromnej mierze zachować i przekazać młodzieży autentyczne wartości chrześcijańskie i narodowe. To ich świadectwo było i pozostaje szczególnie cenne.

Świętując jubileusz naszej szkoły chcemy oddać takim ludziom, których przecież spotkaliśmy w Kołłątaj, szczególny hołd.

* * *

W dzisiejszej Ewangelii słyszymy słowa Chrystusa zachęcające do świadectwa, ale także przestrozę:

Temu, kto bluźni przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie przebaczone.

Mowa jest tu o bluźnierstwie przeciw Duchowi Świętemu. Rozumiemy, czym jest bluźnierstwo w znaczeniu religijnym, zresztą ostatnio wiele o tym mówiono, a to pojęcie ma sens, jeśli wierzący poważnie traktują swoją wiarę. Jednak w tym wypadku chodzi o bluźnierstwo szczególnego rodzaju – takie, które uniemożliwia nawrócenie, wiarę, docieranie do prawdy: człowiek mówi po prostu: chcę kłamać. Ten rodzaj bluźnierstwa powoduje ogromne konsekwencje i może zostać rozszerzony na postawę, w której człowiek stwierdza: nie chcę wiedzieć, nie chcę poznawać, wystarczy mi święty spokój, życie bez głębszej refleksji.

Trzeba dziś przywołać jeszcze jeden szczegół, który wiąże się z tematami, jakie podsuwa dzisiejsza liturgia słowa i okazja naszego szkolnego spotkania. Chodzi mianowicie o czasy, w których przyszło żyć Patronowi naszej szkoły. To był okres upadku, deprawacji społeczeństwa, egoizmu, braku dbałości o Ojczyznę i dobro wspólne. Czas ten zaowocował rozbiorami. Patron naszej szkoły, wraz z wieloma innymi, niestety nie stanowiącymi większości, przeczekał zbliżającą się katastrofę. Ich dziełem była Konstytucja 3 Maja, akt prawny, który miał dokonać odrodzenia państwa. Było jednak za późno, bo państwo nie mogło być wolne, gdy naród przestał być suwerenny. Lecz dzieło Konstytucji 3 Maja przetrwało jako testament dla następnych pokoleń. Może to być znaczenie symboliczne, ale w życiu narodu świat idei ma ogromne znaczenie: Konstytucja była wołaniem o wolność, jakie nie pozwalało gnuśnieć, stawano się wezwaniem do podejmowania pracy organicznej i czynu zbrojnego. Tradycja, której współtwórcą był Hugo Kołłątaj, patron naszej szkoły, stanowiła zatem przypomnienie o celu życia ludzi wolnych, którzy nie chcą być okamywani i prowadzić życia niewolników. I o tej kwestii dzisiaj też trzeba przypomnieć.

Wróćmy do dzisiejszej Ewangelii. Nie jest ona po to, by nas przestraszyć, lecz po to, by nas ostrzec: Jezus Chrystus proponuje nam program życia, w którym prawda się liczy. I nawet jeśli gdzieś na naszych drogach postawiliśmy użyteczność przed uczciwością, opłacalność przed prawością, to te słowa dla każdego z nas są przypomnieniem, że nasze życie ma sens, gdy ma cel.

I zapewne łatwiej jest o tym wszystkim pomyśleć w dniu jubileuszu naszej szkoły, gdy wracamy do tych czasów, kiedy życie stało przed nami otworem, nęciło wieloma możliwościami. Dziś droga większości z nas jest bardziej niż wtedy określona. Obyśmy umieli widzieć wciąż jej cel.

Amen.

Piotr Tomasiak ukończył XXI LO im. Hugona Kottłata w 1980 roku. Absolwent Papieskiego Wydziału Teologicznego. Profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i Papieskiego Wydziału Teologicznego. Prodziekan Wydziału Teologicznego UKSW. Kierownik Katedry Katechetyki Fundamentalnej i Historii Katechezy UKSW. Wykładowca Wyższego Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie i Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Warszawsko-Praskiej. Koordynator Biura Programowania Katechezy przy Konferencji Episkopatu Polski. Wiceprezes Warszawskiego Towarzystwa Teologicznego. Przewodniczący Komitetu Głównego Olimpiady Teologii Katolickiej.

100 sekund

Maja Miśniakiewicz

Było późne grudniowe popołudnie – giełda niemalże pusta, nie licząc kilku mężczyzn w wymiętych garniturach, przysypiających na plastikowych krzesłach, które poustawiane były naprzeciwko mrugających monitorów. Po sali cicho krzątała się sprzątaczką, zamiatając pozgniatane kubeczki, kartki i inne śmieci wyprodukowane podczas giełdowej wrzawy w ciągu dnia.

Weszłam do budynku obrotowymi drzwiami, rozejrzałam się po twarzach wymęczonych mężczyzn. Przez chwilę zrobiło mi się ich nawet żal, ale szybko odgoniłam od siebie te myśli, wiedząc, że i tak mi w niczym nie pomogą. A mogą jedynie przeszkodzić w przygotowaniach. Przesuwałam się cicho między krzesłami, uważając, żeby nie wytrącić z letargu tych kilku ludzi. Myślałam o moim synu, oddychającym teraz spokojnie i wsłuchującym się w miarowe brzmienie aparatury szpitalnej.

Pocierając zmęczoną twarz, zerknęłam na monitory wiszące pod sufitem.

Czerwona linia znaczyła pofatdowaną drogę, choć bieg jej był łagodny – żadnych skoków w górę, żadnych gwałtownych spadków. Uśmiechnęłam się do siebie. Nie wiem, jak to się stało, że nie zauważyłam jedynego nie śpiącego mężczyzny w tym budynku. Stał w rogu sali, oparty o potężną kolumnę. Po schludnym garniturze poznałam, że jest to jeden z maklerów pracujących na tej giełdzie. Jego oczy wpatrywały się w migoczący ekran, a na przystojnej twarzy widniał uśmiech podobny do mojego. W pewnej chwili przeniósł wzrok z monitora na mnie.

Czarujący. Najwyraźniej słowo to tak mocno we mnie huczało, aż znalazło ujście na zewnątrz, bo nieznajomy, uśmiechnięty, zbliżył się do mnie. Jak przez ścianę usłyszałam jego szept, że wywarłam na nim wrażenie. Spróbowałam pozbiierać myśli, które w niebezpieczny dla mnie sposób, krążyły coraz szybciej wokół niego. Starłam się skoncentrować na jednym – nie po to tu przyszłam! Wszystko jednak przestało mieć znaczenie, gdy wyjawiał mi cel swojej wizyty na giełdzie. Odsunęłam się gwałtownie, mając nadzieję, że może mnie to choć w niewielkim stopniu uratować od tego, co usłyszałam. Rozejrzałam się szybko, czy nikt nie zorientował się, o czym mówimy. Widząc niezmienną pozycję śpiących i zatraconą w wykonywaniu swoich czynności starszkę, uśmiechnęłam się do nieznajomego dyskretnie.

Był niebywale inteligentnym mężczyzną. Sprytnym. Idealnym. Mnie postrzegał podobnie – jako piękną, mądrą i nieskazitelną. Czuliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Baliśmy się słowa miłość. Wiedzieliśmy, że jej obezwładniająca siła może zniweczyć Plan. On śmiał się jednak, że rozum to jedno, a serce drugie – nieważne jak mocno będziemy się przed miłością bronić – ona i tak wygra.

Nikt nie wiedział, że się spotykamy. Prywatnie. Bo oficjalnie, wraz z Jego kuzynem i kolegą z pracy, umawialiśmy się w małym, ponurym barze na przedmieściach miasta. Za każdym razem przynosiliśmy nowe informacje, omawialiśmy je, włączaliśmy do Planu. Ustalaliśmy role, kłóciliśmy się. Tworzyliśmy zespół. Tygodnie mijały powoli, pracowaliśmy wspólnie. Lecz nadszedł w końcu dzień, którego obawialiśmy się najbardziej.

Jego kuzyn przytąpał nas podczas kolacji w jednej z małych restauracyjek w drugim końcu miasta. Nie dało się już dłużej ukrywać miłości, która wtargnęła w krąg naszej grupy. Nastąpiły dni milczenia. Spotkania się urwały. Zawista groźba porzucenia Planu. Nasi partnerzy wiedzieli – tak zresztą jak i my – jakie są konsekwencje takiego rozluźnienia w grupie. W momencie, w którym nasze wzajemne stosunki zaczęły sięgać niebezpiecznego poziomu konfliktu, zrobiłam ostateczny ruch. Wysunęłam propozycję kompletnego zerwania bliższego kontaktu. Niech zostanie wyłączony Plan. Nie była to absurdalna propozycja. Obu kuzynów łączyły tylko więzy krwi, natomiast wszyscy czworo nie znaliśmy się prawie w ogóle. Zaakceptowali moją decyzję.

Ale On od tego momentu zaczął unikać kontaktu wzrokowego, udając zwyczaj całkowicie pochłoniętego przez własne myśli. Wiedziałam, że teraz zaczynają się ciężkie czasy dla nas. Ale doprawdy! Chciałam dobra wszystkim. Chciałam, by to Plan był naszym priorytetem! A nie ta miłość, która się zjawiała zupełnie nie w porę. Musiałam myśleć o moim synu...

Powoli zaczęliśmy odzyskiwać kontrolę nad sytuacją. Reaktywowaliśmy nasze spotkania w barze, a współpraca przynosiła coraz widoczniejsze skutki. Cieszyliśmy się z Planu i nie mogliśmy się doczekać końca przygotowań. On i ja nie rozmawialiśmy ze sobą. Przynosiło to zbyt duży ból – ból niewypowiedzianych pragnień. Pierwszy raz doświadczałam tak sprzecznych uczuć – równocześnie chciałam i nie chciałam Go kochać. Jednak nieważne jak długo bym się zastanawiała – nie wolno mi było ponownie zatracać się w stodyczy tamtych uczuć. Tę świadomość miał i On, dlatego ograniczył nasze kontakty do oficjalnego minimum. Osobiste dramaty były nie na miejscu. Nadchodził nasz Dzień. Nasza chwila decydująca o powodzeniu całej akcji, o naszym być, albo nie być.

4 lutego 2004 roku

O godzinie 15.15 na jednym ze stanowisk maklerskich warszawskiej giełdy rozległ się wibrujący dźwięk telefonu. Przystojny mężczyzna w grafitowym garniturze podniósł szybko słuchawkę. Przesunął wilgotną dłoń po udzie, przygryzł wargę. Po krótkiej chwili milczenia usłyszał chichy, kobiecy głos – prośbę o zrealizowanie zlecenia na cztery kontrakty po każdej cenie. Pracownik giełdy w spokoju wstukiwał do komputera dyktowany numer rachunku. W spokoju również wpisał do cyfrowego formularza zlecenie. Słychać było urywany oddech dzwoniącej kobiety. Mężczyzna popatrzył na monitor komputera i nagle zamarł. Po chwili zaczął kłąć i wołać na pomoc kolegę. Telefonująca kobieta spytała niepewnie, o co chodzi. Przez moment nikt jej nie odpowiadał, lecz kiedy męski głos ponownie rozbrzmiał w słuchawce, słychać w nim było wzburzenie. Makler poinformował klientkę, że przy wprowadzaniu zlecenia do komputera nastąpił jakiś błąd – nie wie, co się stało, ale spróbuje to z kolegą naprawić. Kobieta spokojnie wystuchwała wyjaśnień i oznajmiła, że w związku z tym oddzwoni później. Połączenie telefoniczne zostało zerwane.

W budynku giełdy zapadła cisza. Mężczyzna w grafitowym garniturze spojrział na wielką salę z podwieszonymi pod sufitem monitorami. Ludzie stali nieruchomo, wpatrzeni w świecące ekrany. Śledzili z niedowierzaniem czerwoną

linię, która z sekundy na sekundę spadała gwałtownie w dół. Gdzieś ze środka sali dał się słyszeć przytłumiony krzyk. Makler, siedzący przy swoim stanowisku, z zapartym tchem oglądał to, co się właśnie działo w budynku giełdy. Kolega położył mu dłoń na ramieniu i lekko poklepał. W tym dokładnie momencie czerwona linia na monitorach w ciągu kilkunastu sekund wzbiła się pionowo do góry. Wszyscy stali jak zahipnotyzowani. Bo właśnie w ciągu kilkudziesięciu sekund notowania zdążyły spaść niewyobrażalnie nisko, po czym wzbić się niebotycznie wysoko. Zapanował kompletny chaos. W jednej chwili rozbrzmiały wszystkie telefony jednocześnie. Wybuchła ogłuszająca wrzawa. Każdy na swój sposób przeżywał nagłą tragedię. Jedynie dwaj ludzie zachowali spokój. W zamieszaniu wyszli niezauważeni z budynku.

W małym, zaciemnionym pokoju hotelowym czekała na nich kobieta.

Siedziałam jak na szpilkach. Kiedy wreszcie rozległo się pukanie, otworzyłam szybko, uśmiechając się. Był to uśmiech zmęczony, ale szczery. Kiedy spojrzałam na Niego – tak samo wyczerpanego i zdenerwowanego – moje od tygodni najgłębiej skrywane uczucia zaczęły się domagać ujścia. Tak bardzo chciałam Go objąć, pocałować, i śmiać się, wspominając, jak uroczy był, kiedy rozmawialiśmy przez telefon na giełdzie. Zamiast tego nalałam po lampce czerwonego wina. Nasz czwarty wspólnik zadzwonił tuż przed ich powrotem. Wszystko poszło zgodnie z Planem. Na jego konto wpłynęły pieniądze z akcji, a na moje jest właśnie wplatane odszkodowanie za błąd giełdy. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się, wznosząc toast. Korzystaliśmy z ostatnich chwil spokoju, szykując się na trzy ciężkie miesiące. Czekala nas konfrontacja ze światem, prawem i moralnością.

Epilog

„...Sąd rejonowy skazał na 7 lat pozbawienia wolności czworo ludzi oskarżonych o udział w przestępstwie z dnia 4 lutego 2004 roku. W wyniku zorganizowanej akcji narazili oni giełdę na stratę w wysokości 3 milionów złotych. Z powodu komplikacji podczas śledztwa, konto, na które wpłynęły pieniądze z oszustwa, zdążyło zostać całkowicie opróżnione. Prokuratura podejrzewa, że w tym przypadku już nic nie da się zrobić, a pieniądze przepadły...”

Oderwałam wzrok od telewizora wiszącego na brudnej ścianie. Myślałam o moim chorym synu. Czekałam na wiadomość. Po chwili z korytarza zawołała mnie strażniczka – ktoś do mnie dzwonił. Wstałam, poprawiając pomarańczowy kombinezon. Był za duży, o wiele za duży. Kobieta w czarnym mundurze wskazała mi telefon. Drżącą ręką podniosłam zimną słuchawkę.

Sączył się z niej ciepły, radosny głos. Jakaś kobieta oznajmiła, że dzięki anonimowej dotacji, która wpłynęła na konto szpitala, mój syn właśnie przygotowany jest do operacji. Podziękowałam za informację, uśmiechając się w duchu i odłożyłam słuchawkę.

Wracając do sali, myślałam o naszym Planie. O doskonałości pomysłu i precyzji wykonania. O tym, że jego realizacja dała mi możliwość podarowania życia mojemu dziecku. Dziękowałam w myślach luce w prawie, która pozwoliła nam po upływie trzech miesięcy odblokować konto i wypłacić pieniądze. Zaśmiałam się cicho.

Siedząc w pomieszczeniu, w którym gwaro było od głosów kobiet w pomarańczowych uniformach, obiecałam sobie, że zrobię wszystko, aby jak najszybciej stąd wyjść.

Zupełnie inny poranek

Barbara Bojsza

Marta Chrustowicz

Poranek

Czas przecieka między palcami...

Wczorajszy wiatr jeszcze buja firanką.

Słońce wstało godzinę za wcześnie.

Jajka za szybko się ścięły.

Kawa wystygła przedwcześnie.

Gazeta z jutrzejszą datą

Patrzy na mnie złowrogo.

Koszula,

Skarpetki,

Klucze.

Może wróci...

Liryk Marty Chrustowicz „Poranek” to wiersz biały. Składa się z jedenastu wersów przeplatanych ciszą. Pełna asceza słowa. Odstępy pomiędzy wersami to zdania, których podmiot liryczny nie wypowiedział. Nie ośmielił się ich sformułować. Wypiera najgorsze myśli. Strukturę wiersza cechują wersy urwane. W każdym pojawia się jednak inny szczegół, inny trop, inny dowód. To zapis rozbicia wewnętrznego kogoś, kto został nagle porzucony i nie może uwierzyć w to, co się stało.

Słowo „poranek” brzmi banalnie. Nie budzi zainteresowania. Jednak już pierwsze wersy oddają szok bohaterki lirycznej i czytelnik zaczyna jej towarzyszyć, by zrozumieć, co się stało. Podmiotem jest kobieta, żyjąca jeszcze wspomnieniami poprzedniego dnia. A może ostatniej nocy. Zdradza rozżalenie z powodu przemijania. Ujawnia tęsknotę, która sprawia, że wciąż na nowo rozpamiętuje każdą chwilę, by w ten sposób choć odrobinę ukoić ból nagłego zerwania:

Czas przecieka między palcami...

Wczorajszy wiatr jeszcze buja firanką.

Wspominanie wczorajszego wiatru świadczy o chęci cofnięcia czasu. Jednak wiatr jest symbolem niestałości i ulotności a zatem bohaterka ma świadomość nieuchronnych zmian, które nadchodzą w jej życiu. Wschodzące słońce – dla wszystkich symbol nadziei – dla niej wstało godzinę za wcześnie, skracając być może niespokojny sen, w jaki udało jej się zapaść, by nie myśleć o niczym. Teraz jest tylko niedyskretnym świadkiem chwil, które już nie wrócą. Nikt nie wypije wspólnie porannej kawy. Jajka – usmażone jak zwykle – pozostaną nietknięte.

Kolejne zaskoczenie to gazeta z jutrzejszą datą, patrząca złowrogo. Ta metafora dodatkowo podkreśla poczucie beznadziejności sytuacji kobiety i straszłą pewnością, że jutro nie będzie lepiej. Czas się nie cofnie. Nic już w tym domu nie wróci do porannej rutyny, która dawała spokój i poczucie bezpieczeństwa. Epitet „złowrogo” podkreśla, że to nie są zmiany na lepsze. W kolejnych wersach pojawia się wyliczenie przedmiotów, które nagle przyciągają wzrok:

Koszula

Skarpetki

Klucze

Tylko tyle zostało po kimś, kto nagle wyszedł. Pozostawione klucze to najboleśniejszy znak odrzucenia możliwości powrotu, którego nie trzeba zapowiadać, gdy ma się je przy sobie. To także znak odrzucenia bliskiej dotąd osoby. Ostateczna rezygnacja ze wspólnego życia. Ostatni wers zawiera zaskakującą puentę:

Może wróci...

Zdaje się być wyrazem nadziei. Ale ja widzę w nim też rozpacz. Rozpacz opuszczonej, bezradnej, samotnej kobiety, której tylko ta wątpliwa pociecha daje siłę, by trwać. Wiersz przykuł moją uwagę, ponieważ w ascetycznej formie Marta Chrustowicz zamknęła natłok wstrząsających emocji. Zastosowanie nie-domówień to piękny wyraz szacunku autorki dla intymności dramatu osoby porzuconej. A jednak mimo tej powściągliwości – a może właśnie dzięki niej – z każdym wersem głębiej współczujemy bohaterce lirycznej. To przecież sytuacja zaczerpnięta prosto z życia. A żadna z nas, kobiet, nie chciałaby jej doświadczyć.

Zaskakująca puenta: *Może wróci...* skłania do refleksji. Pozornie przynosi nadzieję, lecz czy to nie jest droga przez mękę? Wieczne czekanie na kogoś, kto może jednak nigdy więcej się nie pojawi?

A czas przecieka między palcami...

Haust świeżego powietrza

Justyna Szybińska

Wiersze Marty Chrustowicz opublikowane w 31 numerze „Teraz My!” zrobiły na mnie duże wrażenie. Autorka reprezentuje wąskie – według mnie – grono współczesnych nastolatków, którzy nie boją się dostrzegać problemów otaczającej rzeczywistości i mówić o tym głośno. Narzędziem wyrażania siebie i własnych poglądów stała się dla Marty poezja. Jest to tym bardziej niezwykłe, że to nie najprostsza forma przekazu – szczególnie w świecie zdominowanym przez komercyjne prostactwo. Ludzie są tak mocno indoktrynowani przez wszechobecny przekaz medialny, że nawet nie dostrzegają jak bardzo manipuluje się ich poglądami.

Poruszyła mnie niezwykła dojrzałość twórczości Marty. Uwagę zwraca przede wszystkim perfekcyjny dobór tematów. Kwestie takie jak nadmierne spożywanie alkoholu (szczególnie rażące u młodzieży), powszechność wszelkich używek, presja mediów wkraczających z butami już niemal w każdą sferę naszego życia, czy uzależnienie od wirtualnej rzeczywistości, to problemy, o których nie mówi się publicznie otwartym tekstem. Jednak skutki tych nowych trendów obyczajowych, które weszły do naszej codzienności na przełomie XX/XXI wieku, widoczne są na każdym kroku.

To ważne, że ktoś z mojego pokolenia zaczyna się konstruktywnie buntować przeciwko narzucanym we współczesnym świecie standardom, które – pod pozorem chwilowej przyjemności – powoli unicestwiają to, co w ludziach najpiękniejsze – naturalny humanitaryzm i zdolność odczuwania spontanicznej radości życia.

Takich wierszy nam potrzeba. I takich twórców – odważnych, nietuzinkowych, którzy przemawiają własnym, nowoczesnym językiem artystycznym. Jak uczy nas przeszłość, literatura może odegrać wielką rolę w kształtowaniu ludzkich postaw. Dla mnie wiersze Marty są jak haust świeżego powietrza – dodają energii wszystkim, którzy pragną kroczyć przez życie z otwartą głową.